

Polscy himalaiści, „Lodowi Wojownicy” - to oni rzucili wyzwanie światu

Autor: **Dorota Kowalska** - 29 października 2016 (Zaktualizowano 31 października 2016, 11:21)

<https://polskatimes.pl/polscy-himalaisci-lodowi-wojownicy-to-oni-rzucili-wyzwanie-swiatu/ar/10999471>

Kiedy świat ruszył na podbój Himalajów, oni tkwili w siermiężnej, peerelowskiej rzeczywistości. Ale w latach 70. i 80. zawiesili poprzeczkę ekstremalnie wysoko - postanowili zdobywać ośmiotysięczniki zimą. I zdobywali.

Tkwi we mnie coś takiego, co sprawia, że nie interesuje mnie gra o małe stawki. Dla mnie liczy się jedynie „naj”. Tylko to mnie bierze naprawdę” - powiedział kiedyś Jerzy Kukuczka, zdobywca Korony Himalajów, jeden z najwybitniejszych polskich himalaiistów.

Dla polskiego himalaizmu, to „naj” przyszło w latach 70. i 80., złote czasy wspinaczki: wielkie nazwiska i oszałamiające sukcesy.

Wprawdzie pierwsze polskie doświadczenie w Himalajach, to rok 1939 i wyprawa na Nanda Devi East kierowana przez Adama Karpińskiego, ale potem bieg historii sprawił, że Polacy długo nie wspinali się w najwyższych górach świata. Po zakończeniu II wojny, kiedy inni zdobywali Himalaje, my tkwiliśmy w siermiężnych latach komuny. Nie było mowy o tym, żeby zdobyć zgodę i pieniądze na wielkie górskie wyprawy. W Alpy polscy wspinacze poszli dopiero trzy lata po śmierci Stalina. Potem zbierali doświadczenia w górach Hindukuszu, kolebce polskiego himalaizmu. Andrzej Zawada i Tadeusz Piotrowski, zdobywając zimą 1973 roku Noszak, wskazali kierunek, którym ruszyli polscy wspinacze. Bo, niestety w latach 50., trzynaście spośród czternastu głównych dziewiczych ośmiotysięczników zostało zdobytych, a w 1964 - ostatni dziewiczy ośmiotysięcznik.

Polscy alpiniści rzucili więc wyzwanie himalaistom całego świata w zupełnie ekstremalnej wspinaczce - zdobywaniu gór wysokich zimą. Tę przygodę rozpoczął wspomniany już Andrzej Zawada, bo po Noszaku, w 1974 roku razem z Andrzejem Heinrichem stanął na wysokość 8250 metrów - to był pierwszy raz w historii, kiedy człowiek zimą wspiął się na ponad 8000 metrów.

Potem były kolejne ośmiotysięczniki: w lutym 1980 roku Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy po raz pierwszy weszli na Mount Everest, dalej - Manaslu, Dhaulagiri i Czo Oju, Kanczendzonga, Annapurna, Lhotse. Polscy himalaiści zostali przez zagranicznych wspinaczy ochrzczeni mianem „Lodowych Wojowników”. Co pchało wszystkich tych ludzi w góry?

„Żeby być dobrym człowiekiem i wspinaczem, trzeba zrozumieć siebie i pozwolić na odczuwanie różnych stanów. Ale jak możesz zrozumieć siebie, żyjąc w świecie, w którym wszystko jest zorganizowane i który we wszystkim cię wyręcza? Jeśli jest ci zimno, włączasz ogrzewania. Jeśli jest ci smutno, włączasz telewizor i oglądasz zabawny program. Czasami, żeby nauczyć się siebie, musisz być daleko od miejsca, w którym czujesz się bezpieczny. Przebywanie w takim miejscu daje ci możliwość zrozumienia tego, czego się boisz, z czego jesteś dumny i świadomość tego, co możesz zrobić, a czego nie” - powiedział kiedyś Simone Moro, włoski wspinacz, alpinista, himalaista, to on, drugi po Jerzym Kukuczce zdobył zimą cztery ośmiotysięczniki: Sziszapangmę, Makalu, Gaszerbrum II oraz Nanga Parbat.

Pewnie wiele w tych słowach prawdy. W każdym razie polscy wspinacze radzili sobie świetnie nie tylko z górami, ale z peerelowską rzeczywistością.

Namioty, kurtki, kombinezony, buty, raki i liny były w owym czasie bardzo niesłychanie drogie i praktycznie nieosiągalne, nie do kupienia w polskich sklepach, więc polscy himalaiści szyli ubiory na zamówienie w małych warsztatach rzemieślniczych. Sami dawali krawcom wskazówki i wzory, procentowało doświadczenie zdobyte w wysokich górach. Cały czas udoskonalali też sprzęt weryfikując go na kolejnych wyprawach. Z czasem zaczęli sprzedawać go zachodnim kolegom, ale też ich budżety na wysokogórskie wyprawy były nieporównywalnie wyższe. Nasi wspinacze musieli najzwyczajniej w świecie kombinować, czasami naginając prawo.

Polskie wyprawy w ładowniach ciężarówek przewoziły spore ilości kontrabandy. Mirosław Wiśniewski, wielokrotny uczestnik wypraw, mówił swego czasu „że żadna Polska wyprawa nie odbyłaby się bez handlu przemycanymi towarami”. Upychało się je na samochodach między legalnym sprzętem, a z celnikami urządzało mocno zakrapiane imprezy, by nie mieli już czasu zerkać na wypchane po brzegi samochody. W jedną stronę woziło się na przykład na przykład polskie kryształ, w drugą - setki kozuchów, czap i rękawic.

Wojtek Kurtyka, jeden z najbardziej znanych polskich himalaistów wspominał, jak to podczas wyprawy z Jerzym Kukuczka przemycali w beczkach ze sprzętem 36 butelek whisky. Tym razem pakistańscy celnicy byli bardzo skrupulatni, chcieli dokładnie sprawdzić przewożony towar, zerkali niemal wszędzie. Na szczęście butelki były świetnie ukryte, a pieniądze z ich sprzedaży pokryły część kosztów wyprawy. Ale skoro już jesteśmy przy Kurtyce, to legenda, najbardziej znany na zachodzie polski himalaista. Zachód Kurtykę ceni i szanuje. Kurtyka nie podejmował zbytniego ryzyka, miał intuicję, sam o sobie mówił, że jest tchórzem, dlatego jeszcze żyje.

„Człowiek jest tak skonstruowany, że musi się bać. Jeśli się nie boi, to wpakuje się w tarapaty i straci życie. Naturalny jest też sprzeciw wobec własnego strachu. Poczuję to, kiedy byłem dzieckiem. A gdy pierwszy raz zetknąłem się z górami, bunt wobec własnej słabości połączony z fascynacją przyrodą obudził we mnie naturę alpinisty. (...) Jeżeli człowiek przegrywa z lękiem, to traci zaufanie do siebie i poczucie własnej wartości. To dotyczy gospodyni domowej, która będzie się stawiać zaborczemu mężowi, czy dozorca, który nie pozwoli sobie wejść na głowę, i Wojtka Kurtyki, który wchodzi w ścianę i robi wszystko, by wygrać z własnym strachem. To pierwotne.” - mówił w 2014 roku w wywiadzie dla „Dużego Formatu”

Indywidualista, outsider wśród himalaistów, wspinaczki traktował zawsze raczej jako sztukę niż osiągnięcia sportowe. Może dlatego nie lubi wielkich wypraw, bo, jak mówi, „eliminują ze wspinania to, co najlepsze, czyli poczucie wolności.”

„Doświadczenie alpinistyczne zaczyna się tam, gdzie zachowuje się wolną wolę, a jego siła objawia się wówczas, gdy sięgamy własnego kresu. Dlatego klientów wypraw komercyjnych, np. na Everest, szczerze namawiam na cele mniej prestiżowe, ale za to w pełni samodzielne. Doradziłbym Babią Górę zimą, solo na krechę przez las.” - mówił w tym samym wywiadzie dla „Dużego Formatu”

Kurtyka zainicjował przejście 13 trudnych ścian, w tym sześciu na ośmiotysięcznikach. W 2002 roku amerykański magazyn „Climbing” uznał zdobycie przez Kurtykę i Roberta Schauera zachodniej ściany Gasherbruma IV za największe osiągnięcie w światowym himalaizmie w XX wieku.

Ale też złoty czas polskiego himalaizmu, to czas wspaniały polskich wspinaczy: Wojtka Kurtyki właśnie, Jerzego Kukuczki, Wandy Rutkiewicz, Krzysztofa Wielickiego, czy Andrzeja Zawady. Pisze o nich dziennikarka Bernadette McDonald w książce „Ucieczka na szczyt” - każdego z bohaterów McDonald analizuje z niezwykłą precyzją, a sukcesy polskich himalaistów tłumaczy nie tylko siłą charakteru, ale trudną sytuacją polityczną, ekonomiczną, jeszcze trudniejszą historią, które kazały im „uciekać w góry”. Książka McDonald w 2011 roku wygrała Banff Mountain Book Festival w Kanadzie, otrzymała bardzo prestiżową brytyjską nagrodę Boardman Tasker Prize. Licencja została sprzedana do wielu krajów, a Instytut Adama Mickiewicza zakupił edycję angielską do promocji Polski zagranicą.

Skąd taki sukces polskich himalaistów na przełomie lat 70. i 80.? Może McDonald ma rację, może ta chęć wyrwania się z szarej, peerelowskiej rzeczywistości była czynnikiem determinującym, ale nie bez znaczenia jest tu postać Andrzeja Zawady, pioniera polskiego himalaizmu zimowego. Zawada miał w sobie jakiś spokój i szalone zdolności

organizacyjne. Był kierownikiem pierwszej zimowej wyprawy na Mount Everest, potem wyprawy na Czo Oju na przełomie 1984 i 1985, wreszcie poprowadził pierwszą zimową wyprawę na K2.

„Mówiło się, że Zawada osiąga sukces już przed wyprawą, bo 50% sukcesu to jest skład. Miał coś takiego w sobie, że potrafił dobrać, a do tego inspirować ludzi, motywować do walki, do akcji i do nie poddawania się. Nie był defetystą, wręcz ich podpuszczał, próbował to rozgrywać: „może nie ty, bo nie dasz rady...”. Przez to zyskiwał sobie najpierw wrogów, a potem sympatię, ponieważ powodowało to czasem jakąś rywalizację, ale w konsekwencji kończyło się tym, że rzeczywiście Zawada kojarzony był z sukcesem. Jest to umiejętność takiego wodza na polu bitwy, który nie pokazuje palcem, kto co ma robić, tylko potrafi sytuacyjnie wyzwolić motywację wśród swoich żołnierzy - nazwijmy to, wojowników. On miał taką fajną zdolność, a nie każdy to potrafi, trzeba mieć pewną charyzmę. I Andrzej ją miał, stąd jego przydomek Lider, który nie bierze się znikąd, tylko powstaje, gdy ktoś nagle - środowisko, ludzie wspinający się - zauważają: o, lider. I tym liderem pozostał do końca życia” - opowiadał wiele lat później o Zawadzie Krzysztof Wielicki, piąty człowiek na Ziemi, który zdobył Koronę Himalajów i Karakorum, pierwszy zimą na Mount Evereście i na Kanczendzongę. Na Kanczendzongę wspinał się z Jerzym Kukuczką, on z kolei jako drugi, po Reinholdzie Messnerze, zdobył 14 ośmiotysięczników i Karakorum. Na 11 wszedł nowymi drogami, siedem zdobył w stylu alpejskim, trzy po raz pierwszy zimą, jeden szczyt samotnie. Zajęło mu to 7 lat, 11 miesięcy i 14 dni.

W 1988 na igrzyskach olimpijskich w Calgary Kukuczka został wraz z Reinholdem Messnerem nagrodzony srebrnym Orderem Olimpijskim. Messner medalu nie przyjął. Stwierdził, że alpinizm uważa za twórczość, a nie rywalizację. Kukuczka zawiesił krążek na szyi.

„ W alpinizmie, jak w szachach: jest miejsce na swego rodzaju twórczość i sportową rywalizację. Gdyby jej zabrakło, być może nigdy bym się nie wspinał” - tłumaczył.

Gdy zdobył już Koronę Himalajów i Karakorum, postanowił stawić czoła największemu wyzwaniu himalaizmu XXI wieku - południowej ścianie Lhotse. Wiosną 1989 wycofał się z niej Messner. Atakując szczyt na wysokości około 8300 m Kukuczka odpadł od ściany. Został pochowany w szczelinie lodowca pod Lhotse. Ale też Kukuczka miał opinię ryzykanta, wielu himalaistów, którzy wspinało się z nim w górach - ginęło.

„Stosunek Kukuczki do ryzyka był dla mnie nie do przyjęcia. Był to jeden z powodów rozpadu naszego partnerstwa” - mówił w wywiadzie dla „Dużego Formatu” Wojciech Kurtyka.

Kukuczka walczył nie tylko ze sobą. Media wciąż podgrzewały jego rywalizację z Reinholdem Messnerem, chociaż obaj zaprzeczali, jakoby mieli ścigać się ze sobą. Dlaczego Kukuczka zginął? Przecenił siły? Przeszarżował? Miał najzwyczajniej w świecie pecha?

„Alpinizm jest sztuką bezsensownego cierpienia, gdyż zmusza do czynienia rzeczy znieawidzonych lub nieprzyjemnych, np. marznięcia, wczesnego wstawania, dźwigania ciężkich plecaków i rezygnowania z towarzystwa kobiet. (...) Każdy himalaista musi się w końcu zabić, to tylko kwestia czasu i wytrwałości w uprawianiu tego sportu” - pisze w swojej książce „Zwyciężyć znaczy przeżyć. 20 lat później” Aleksander Lwow, zdobywca 4 ośmiotysięczników w Himalajach i Karakorum.

Ale też prawda jest taka, że polscy himalaiści za rzucone światu wyzwanie i własne wielkie sukcesy zapłacili najwyższą cenę, cenę życia.

Wanda Rutkiewicz, pierwsza Europejka, która stanęła na Mount Evereście - zaginęła w 1992 podczas ataku szczytowego na Kanczendzongę.

Rutkiewicz zdobyła najwyższy szczyt Ziemi w tym samym dniu, w którym konklawe wybrało nowego papieża - Karola Wojtyłę. Kilka lat później Jan Paweł II powie Rutkiewicz „Dobry Bóg tak chciał, abyśmy tego samego dnia zaszli tak wysoko”. Rutkiewicz to ikona kobiecej wspinaczki, walczyła o prawo kobiet do zdobywania najwyższych

gór świata. Organizowała kobiece wyprawy, wielokrotnie była ich kierownikiem, samotnie wchodziła na ośmiotysięczniki.

Na Kanczendzongę szła razem z Carlosem Carsolio, meksykańskim himalaistą, zdobywcą wszystkich 14 ośmiotysięczników. Ruszyli w górę 12 maja o wpół do czwartej z obozu IV na 7950 m. Po dwunastogodzinnej wspinaczce w głębokim śniegu Carsolio stanął na wierzchołku, schodząc, napotkał Wandę na wysokości ponad 8200 metrów. Nie miała sprzętu biwakowego, ale zdecydowała się przeczekać noc i wchodzić na szczyt następnego dnia. Jej ciało nie odnaleziono

W środowisku polskich himalaistów zawrzało. Padały oskarżenia pod adresem Carsolio, podobne oskarżenia wiele lat później usłyszał Andrzej Bielecki i Artur Małek, uczestnicy wyprawy na Broad Peak. Ale wtedy, po śmierci Wandy Rutkiewicz, głos zabrał Reinhold Messner. To były mocne, bolesne słowa.

„W wysokich górach nie ma miejsca na moralność” - mówił Messner „Gazecie Wyborczej” 23 maja 1998 roku: „Człowiek jest tak skonstruowany, że pomaga partnerom, jeśli to możliwe. Jeśli nie ma możliwości, nie pomaga. (...) W ekspedycji wysokogórskiej każdy jest odpowiedzialny za siebie, zaś grupa jest odpowiedzialna za grupę. Alpinista powinien działać tak, aby nie narażać na ryzyko innych. Ale granica między życiem i śmiercią jest w górach bardzo cienka i łatwo się pomylić w ocenie. (...) Sądźcie, że za śmierć Wandy odpowiedzialny jest Carlos Carsolio. Jeszcze wczoraj coś takiego słyszałem na spotkaniu w Warszawie (Messner promował na targach swoją książkę „Na koniec świata”). Zupełny bezsens. Carsolio nie miał nic wspólnego ze śmiercią Wandy. Ona natomiast miała jak najwięcej wspólnego z własną śmiercią. Była szalona. Poszła tam, gdzie nie powinna chodzić. Ona jest odpowiedzialna za swoją śmierć. (...) Carsolio powiedział Wandzie: „Musisz schodzić, jest zbyt późno”. Ale ona: „Grrrr! Nie ma mowy!”. Wszyscy Polacy bili brawo: „O! Jaka dzielna kobieta!”. A ona umarła. Polacy powinni raz na zawsze skończyć z bohaterszczyzną w wysokich górach. Jeśli grają takich bohaterów, sami są odpowiedzialni za śmierć, nie Meksykanie, Włosi czy ktokolwiek inny. Dlaczego ja mam być odpowiedzialny za zwariowanych polskich wspinaczy? Wczoraj (w piątek 15.05.98) słyszałem Polaków, którzy sugerowali, że to ludzie z Zachodu są odpowiedzialni za tyle ofiar w Himalajach. Rzeczywiście zginęło wielu dobrych wspinaczy, najlepszych w latach 80. Ale nie przez ludzi z Zachodu. Zabiła ich konkurencja z Polski, która pchała ich w miejsca, w które być może nie powinni iść. Więc mówiąc o odpowiedzialności za siebie - to jest odpowiedzialność. Mnie również oskarżano, że doprowadziłem do śmierci Jerzego Kukuczki. Mnie nie było wtedy na Lhotse. Ja byłem na Antarktydzie. Dowiedziałem się o jego śmierci, gdy stamtąd wróciłem. Ale w gazetach dziennikarze napisali: zabiła go rywalizacja z Messnerem. Ja nie robiłem z Kukuczką zawodów. Z tego, co wiem, on nawet nie miał zamiaru ruszyć na Lhotse. Ale inni polscy wspinacze i media publicznie powiedzieli: „Jeśli Kukuczka zdobędzie południową ścianę Lhotse, gdzie Messnerowi dwukrotnie się nie udało, będzie największym wspinaczem świata”. Błąd. Miał 1,75 m wzrostu i nie byłby większy, tak jak ja nie byłbym, robiąc coś jeszcze i jeszcze. Nigdy nie byliśmy na tej samej górze, w tych samych warunkach przyrody, więc jak mogliśmy się ścigać. Mieliliśmy dla siebie wiele szacunku, ale rywalizacja z Kukuczką to rzeczywistość, która nie istnieje. Wykreowały ją media.”

Po śmierci Kukuczki, Rutkiewicz, tragedii pod Mount Everestem, kiedy w 1989 roku lawina zabrała tam pięciu polskich himalaistów wciąż pojawiały się pytania o sens tej morderczej walki z sobą i naturą. Aleksander Lwow daje na nie odpowiedź.

„Poszukiwanie sensu wspinania jest bezcelowe - pisze w swojej książce „Zwyciężyć znaczy przeżyć. 20 lat później” . I dalej „... w gruncie rzeczy najważniejsze jest samo zdobywanie, dążenie do celu i walka o osiągnięcie go, gdyż w naturze człowieka zakodowano, by wciąż zwracał się ku nowemu i nieznanemu. Pięknie i zwięźle oddaje to buddyjska zasada: „Droga jest celem”.”